



Ewa Łuskińska
(1879 — 1942)

W obronie piękności kraju (1910)

Pierwotne piękno przyrody znamy dziś zaledwie fragmentarycznie. Niema zakątka, gdzieby nie sięgnęła ręka ludzka, zaborcza lub twórcza. I oto mamy do czynienia z dwoma wprost przeciwnymi rezultatami. W pierwszym wypadku, przyroda zepchnięta do roli służebnicy, odarta i wyciskana ze swych skarbów; w drugim, te surowe bogactwa, przekute w kształt artystyczny, koroną lśnią na jej czole. A nie jest to bynajmniej blask zimny i martwy, są to żywe klejnoty słoneczne, niejące światło i radość.

Całe przenikanie wzajemne życia zewnętrznego i wewnętrznego,— nie da się dziś zaprzeczyć. Kojarzenie wrażeń z odrębnych na pozór dziedzin, wpływ otoczenia, barw, form, linii, natężenia światła, na psychikę człowieka — to rzecz znana i uznana. Nie wyrzekajmy się estetyki, bo nie możemy żyć bez niej, choćbyśmy chcieli. Bezinteresowne piękno otacza nas zewsząd, wdychamy je jak powietrze, — ale też jak ono może być czyste i orzeźwiające, lub też zatrute, duszne i skażone. Organizm skazany od początku na oddychanie taką atmosferą, nie jest w stanie zdać sobie sprawy ze zubożenia swego istnienia, z braku idealnych, a jednak w skutkach i oddziaływaniach, najistotniejszych wartości życiowych.

Jeżeli bowiem zmienne nastroje, chwilowe wpływy, odbijają się w sposób znamienity na usposobieniu, działaniach jednostek i całych grup, to o ileż głębiej, trwalej, jak kwas trawiący miedzianą płytę, rytuje się w psychice człowieka współczesnego stałe oddziaływanie najbliższego otoczenia, charakter krajobrazu, rysunek terenu, jego faliistość i układ, klimat i roślinność; o ile zaś miejscem naszego zamieszkania jest miasto, to jego plan, położenie, perspektywa ulic i placów, piękność budowli, ich historyczne znaczenie, w ogóle cały kulturalny i estetyczny poziom, który jego mieszkańców mimowiednie obowiązuje.

Wszystko razem stanowi właściwy, konkretny wyraz i realne rysy, w jakich przedstawia się w umyśle dany kraj; stanowi sumę pierwiastków materialnych, cech przyrodzonych i wkładu pracy ducha całych pokoleń, i jako taki, jest skończony w swej całości i nienaruszalny w swym charakterze.

To są rzeczy na pozór proste i zrozumiałe dla każdego, komu nie obcą troska o rozkwit i przyszłość swego kraju. Czemu jednak my, zaabsorbowani całym mnóstwem czy to oderwanych, czy pozytywnych zagadnień na ten temat, — nie chcemy widzieć, jak z każdym dniem ginie nasza przeszłość, zanika piękno naszego krajobrazu, niweluje się jego odrębność, przetwarza charakter. Gdy jutro obejrzymy się wstecz, nie poznamy ziemi naszej. Gdy z gwarnych rynków Zachodu zapagniemy znaleźć się »u siebie«, okaże się, że wracać nie ma do czego, bo wszędzie znajdziemy toż samo otoczenie. Wszystko będzie ujęte w jeden szablon, uporządkowane, wzorowe i równe — w brzydocie.

Czem się to dzieje ? Czyżby brak nam było kultury, tej kultury, o której tyle się dziś mówi i pisze? Lecz owe zmiany i przekształcenia dokonywać się u nas zwykły przeważnie w jej imię, na wzór i podobieństwo najświeższych zdobyczy, zaczerpniętych u sąsiada o miedzę. Widocznie — jest kultura i kultura. Obca i pożyczana jest czynnikiem rozkładającym.

Nam należy wytworzyć kulturę własną. Wszakże nas stać na to. Wszak jesteśmy rasą młodą, a jak w skromności ducha chętnie wyznajemy: genialną. Tylko, że dotąd wystarczała czapka rogata i wiew pawiego pióra — dziś trzeba czegoś więcej. I to się już staje. Odrodzenie kultury polskiej przygotowuje się na każdym polu. Konsekwentnie pomijanem było dotąd jedynie to, co jest przeciw tłem, rdzeniem i podstawą wszystkiego — ziemia nasza i jej wielkie piękno.

Tak dalej trwać nie może. Wrażliwość estetyczna nie jest wytworem sztucznym, ona tkwi w każdej duszy. Ale jak pąkowie kwiatu, bądź zgłuszone chwastem banalności, bądź cierniem przeciwieństw, nie ma często siły wydobyć się na światło, nie wie o złożonej w zarysach swych koron symbolice najwyższych wartości, o utajonych w żywotnych sokach łodyg, źródłach trwałej radości i siły życiowej.

Gdzie leży urok naszego krajobrazu ? W czym tkwi piękno lub brzydota naszego domu? Co ochraniać, przed czym bronić się należy? Co robić?

Rzecz bardzo prostą. Otworzyć szeroko oczy i rozejrzeć się w okół. Reszta przyjdzie sama z siebie.

Nieco porównań, jakie przeprowadziliśmy w tej broszurze, to nie kanon, to garść wrażeń, — ci, którzy wzięli ją do ręki z myślą odnalezienia gotowych, nieomylnych wzorów, znajdują co najwyżej pewną metodę, drogowskaz, który zresztą nie wykacza po za granicę rodzinnej wsi lub miasta.

Zastrzedz się także musimy stanowczo, że nie przemawiamy w imieniu jednostek. Zwracając się do ogółu, musi się brać go pod uwagę jako organizm zdrowy, o rozwiniętych harmonijnie wszystkich władzach, zdolny do pełni życia. Dlatego trzeba nam z góry uprzedzić inny zarzut. Porównawczy przegląd współczesnego budownictwa przekonywa łatwo, że połączenie znamion piękna i swojskości znaleźć można, jak dotąd, — niemal wyłącznie w zabytkach przeszłości, — które też

bronić przed zagładą, strzedz od przekształcenia, nie dozwalać oszpecać sąsiedztwem brzydkich naleciałości, — przedstawi się jako pierwsze nasze zadanie.

Tu jednak możemy spotkać się z uwagą: czy stanowisko nasze nie jest jednostronem? czy istotnie wszystko, co nam pozostało, jest artystycznie bez zarzutu? czy wreszcie życiu nowożytnemu wystarczyć mogą te zabytki, — jakkolwiek pełne uroku, — wobec zmienionych wymagań, do których trudno je nieraz przystosować, bez popełnienia nowego barbarzyństwa?

Niepodobna zaprzeczyć, że łączy się to niekiedy z koniecznością pokonywania pewnych technicznych zagadnień. Mimo to, nie wahamy się powtórzyć z całym naciskiem, że obrona każdej takiej placówki, to nie sentymentalizm, lecz prosty obowiązek kulturalny. Nie narzucamy bowiem ani wyłącznej miłości ruder, ani tem mniej bezkrytycznych zachwyty nad lada staroświeckiem domostwem, — lecz żądamy poszanowania przeszłości — w imię przyszłości. [...]

Tak więc zachowanie zabytków »wczoraj« to warunek pięknego »jutra«. Utrzymanie ciągłości ewolucji pojęć estetycznych zapewnia organiczny rozwój nowych form z podłoża dawnych, będących wyrazem zgasłych pokoleń. One nie ze wszystkim przeminęły. W starym domostwie, jak w krwi żył naszych, nierozwikłane tkwi pokrewieństwo. Mózg, co począł zarys jego planu, ręce, które zbrzdził trud budowy, rozpadły się w proch, ale jakaś cząstka ducha żyje w kamieniu podłożonym pod węgiel, w belce zawleczonej na pułap, i tai się czar przedziwny, niezaprzedzony i nieodparty, który zwie się miłością swego domu, jego przeszłości i przyszłości. Tego zawężenia uczuć oryginalna kultura narodowa nie może pomijać, ani lekceważyć, jeżeli ma zwać się narodową.

Lecz nietylko uczuciowe walory mogą tu być brane pod uwagę. W czystym, zimnym świetle estetycznego kryterium — te staroświeckie zabytki nic nie tracą. One są nietylko bliskie i własne, — one są piękne, nieraz bardzo piękne, wzbudzają podziw obcych, — tylko my tego widzieć nie chcemy. Czas przejrzeć, czas stanąć do obrony!

Ale taką rzecz za swoją muszą wziąć — wszyscy. Uwierzyć, że to nie kaprys mody, ani ciasny szowinizm, ani estetyczne przeczulenie. To poprostu pierwszy głos opamiętania się, gorące wezwanie do podjęcia ratunku dla czegoś, co ginie w oczach, co jest niepowrotnem i niezastąpionem, a ma być podwaliną przyszłej sztuki, przyszłego budownictwa polskiego.

Nie dosyć na tem. Nie samo tylko budownictwo stanowi o uroku i charakterze pejzażu, nie sam architekt, w jego dobrowolnie dziś zacieśnionym zakresie widzenia, jest zań odpowiedzialnym. O pięknie lub brzydocie danego kąta kraju decyduje zarówno ziemianin, jak kupiec; rolnik, leśnik, ogrodnik, inżynier, wreszcie każdy mieszkaniec, czy to wsi, czy miasta, który dbając o wprowadzenie pierwiastka estetycznego w najbliższe otoczenie, nietylko rozjaśnia własne życie, ale składa zarazem swój udział do skarbnicy dobra ogólnego. Takie powszechne zrozumienie, przejęcie się ideą, cechuje najpodniosłe artystycznie epoki, jak czasy Odrodzenia, gdy role

w tem wielkiem widowisku zdawały się być podzielone między pojedyncze okolice, miasta i ludzi, z których każdy działając w ograniczonym zakresie, ale z nieograniczonym zapałem i energią — tworzył zbiorowe arcydzieło życia.

Już budzi się świadomość, żywiołową mocą bucha z serc i umysłów jednostek, — ale dla zwycięstwa sprawy potrzebne jest silne ujęcie, szeroki nurt, konkretny czyn. Ludzie dobrej woli niechaj podadzą w tem dziele rękę artystom i architektom, a wspólne usiłowania wskrzeszą na tem zaniedbanem polu kultury polskiej — zamarłą potęgę i piękność plastyczną.

Linia graficzna, jaką wykreśla się polski krajobraz, jest tak giętka i rzeźbiona, skala barw tak zmienna i różnolita, że niepodobna pokusić się o ujęcie w kilku słowach pełni wyrazu, jaką przemawia ziemia nasza na całej przestrzeni swych obszarów. Ale w tej zewnętrznej różnorodności wielka jedność leży, jedno uczucie obejmuje ją całą, jednakie niebezpieczeństwa grożą jej na każdym miejscu, — i jedna myśl, zjednoczona myśl polska staje na jej straży.

W naturalną piękność przyrody ze wszechstron godzi bezmyślność lub spekulacja swoich, brutalna bezwzględność obcych. Krótkowidztwo pierwszych, zachłanność drugich — pracują wspólnie nad odarciem kraju z powabu i wyzuciem z sił żywotnych; rabunkowa gospodarka tryumfuje na całej linii, — jedną ręką wydzierając z wnętrza ziemi surowe bogactwa, w drugiej części idące na korzyść naszych wrogów, — drugą zmiata z jej powierzchni wszystko, co stanowiło do wczoraj jej wyraz, odrębność i urok. Padają pod siekierą stare lasy, chwieją się skały, podkopane przez kamieniołomy, kraj niweluje do jednego poziomu pod pozorem jednostronnie pojętych ulepszeń technicznych, wandalizm i chciwość burzy nieliczne, drogie i bezcenne zabytki budownictwa polskiego, a natomiast mnożą się takie okazy będące wykwitem »najnowszych prądów«, jak owe dworce kolei, urzędy i szkoły, przypominające zakłady poprawcze; kosmopolityczne hotele, krzykliwością swych złocień i stiuków, pragnące pokryć zupełny brak smaku i myśli; wille, będące zlepkiem tysiąca i jednego stylu; koszarowe pudła domów czynszowych po miastach i dziwołagi, zwane pałacami po wsiach, powstające na miejsce ślicznych, starych dworów polskich.

Spróbujmy tylko przejechać kawał naszej ziemi, po staremu, »rzemiennym dyszlem«, od wsi do wsi, od miasta do miasta, — i naocznie porównać wyniki dwóch kultur.

Wyborny, bity gościniec, stanowi rzeczywisty i znakomity postęp od zbyt pierwotnych dróg polskich, jakie jeszcze przed laty kilkudziesięciu były jedynymi liniami komunikacji, a wijąc się wśród pól i lasów, urozmaicane gospodami przydrożnemi, mnóstwem drzew i przysłowiowych, polskich mostów, pełne zresztą wybojów, błota i kurzu, były niewątpliwie malownicze, ale zarazem urągały wprost swej nazwie i przeznaczeniu. Nikt rozsądny nie może ich żałować, ale niemniej ma prawo zapytać, czemu te doskonałe dzisiejsze szosy, ze swemi kamieniami kilometrowymi i suchem drewnem słupów telegraficznych, czynią wrażenie tak przeraźliwej

monotonii, czemu ta biel wapienna nie złagodzona cieniem drzew, któreby rzuciły odbicie ruchliwej tkanki swych konarów na kurzawę gościńca, a powiązane gałęzmi mknęły jak w tańcu po bokach drogi. Albo dlaczego te bliźniacze, żelazne mosty, technicznie zapewne bez zarzutu, mają być koniecznie tak pozbawione wszelkich cech indywidualnych, gdy nawet najdrobniejszy mostek, przerzucony nad strumieniem, może mieć swe estetyczne znaczenie, jeśli będzie dostrojony do tła danego kawałka ziemi, — może z brawurą przesadzać potok w jednym skoku, — podczas, gdy monumentalny most kolei żelaznych, z niewzruszoną, spokojną siłą opanuje szeroki nurt rzeki szlachetnymi arkadami, jak rozpięciem sklepieniem dłoni olbrzyma, zamiast skuwać ją w system sztywnych krat, których miganie przez okna wagonu czyni wrażenie całej seryj rozmachanych nożów.

Czem most być może i powinien, jakie połączenie mocy i głębokiej harmonii dać jest w stanie, — o tem przekona nas zdjęcie mostu t. zw. wiszącego, co łączy jakieś dwa cudne ogrody, odgrozione wysokością starożytnych, pociemniałych murów. Ten łuk, w przerzucie swym pełen siły i swobody, wsparty na potężnych przyporach, a obrzeżony lekką jak piana koronką balustrady, — jest jak wygięty łuk tęczy, bramy przymierza i pokoju, — i otwiera też w głębi widok istic sielski, najbliższy cel naszej drogi: wieś polską.

Podążymy ku niej boczną drogą, jedną z tych, o których cywilizacja zapomniała. Wijąca się łagodnie, z wyjeżdżonymi w gliniastym gruncie śladami kół, ciągnącemi w dal jak złote liny, obrosła krzywemi wierzbami o groteskowych kształtach. Gdzieniedzie, na wzgórkuc zczerniała Boża Męka lub przydrożna kapliczka jakiego świętego, w kształcie przysadzistego słupa z pobielonych cegieł, bardzo naiwnej i starożytnej formy, z jaskrawemi figurkami w niszach, dziełem wiejskiego snycerza.

Zawiodła nas ona do szczerzej wsi polskiej, jakiej podobną do niedawna wszędzie znaleźć było można, czy to była wieś kujawska, mazowiecka czy krakowska. Jak równoległe dwa sznury paciorków, domy nanizane gęsto po obu stronach drogi, obejmia dotykają się wzajem opłotkami. U wjazdu do wsi często sadzawka lub staw, źle utrzymany, obrosły olchą lub wierzbina, kąpiącą w wodzie długie pędy swych wikli. Gdzie brak rzeki albo stawu, widać rozrzucone gęsto studnie wiejskie, z wiadrem na korbie, lub wysokie, skrzypiące żurawie.

Przechodzimy środkiem wiejskiej ulicy, a cała nasza uwaga zwraca się na pierwszy, prastary zabytek naszej kultury, kołyskę rodzimego budownictwa — na chatę polską.

[E. Łuskina, *W obronie piękności kraju*, Towarzystwo upiększania miasta Krakowa i okolicy, Kraków 1910, s. 1-11; interpunkcja, pisownia i wyróżnienia oryginalne]